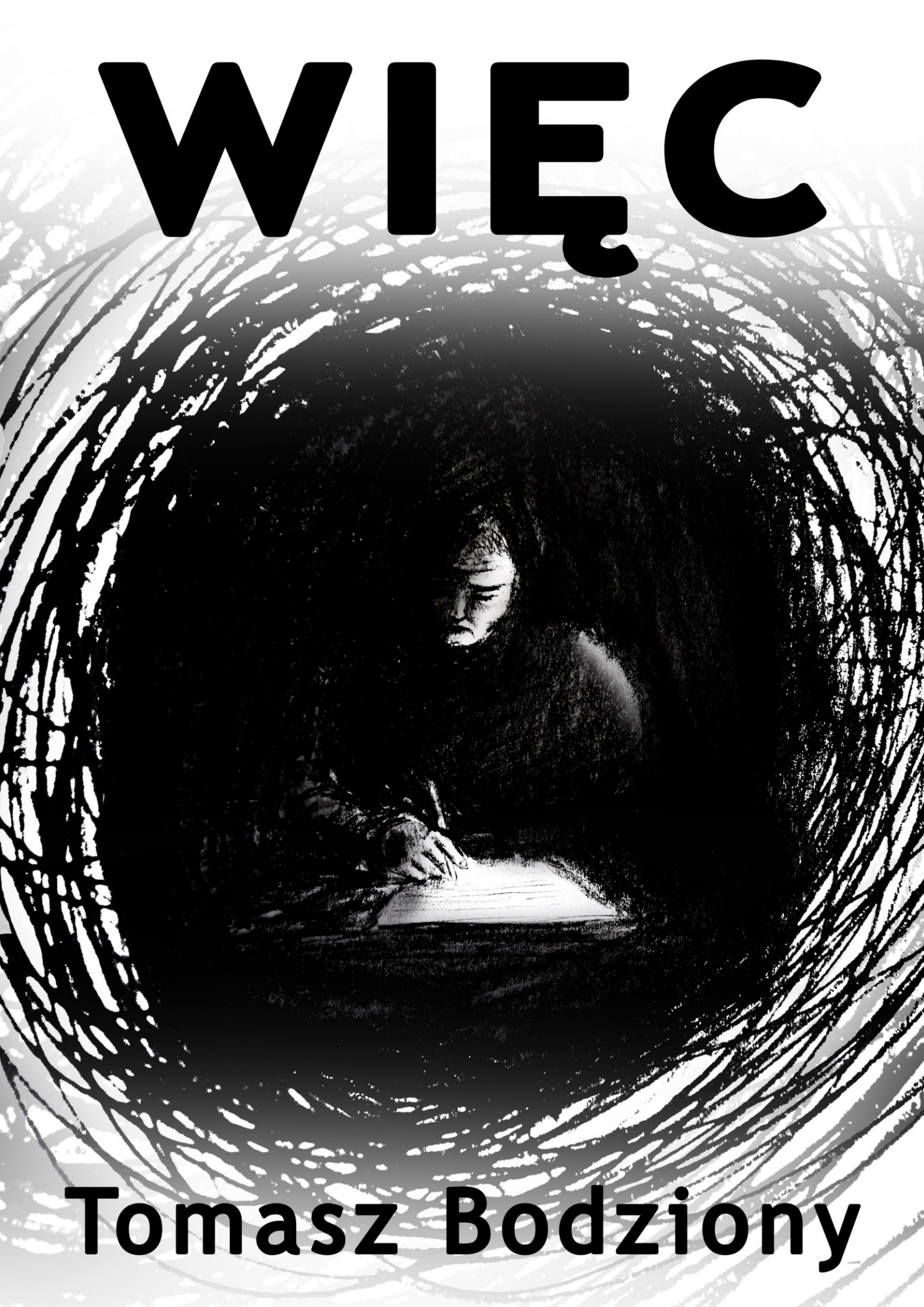


WIĘC



Tomasz Bodziony

© Copyright by Tomasz Bodziony & e-bookowo 2010
Grafika i projekt okładki: Anna Pietraszek
ISBN 978-83-61184-95-9

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2010

Tomasz Bodziony

WIĘC

PRZEDMOWA

Myślę, że przed lekturą tej książki winien jestem krótkie wyjaśnienie. Najpierw, jak powstała ta książka. Otóż znalazłem ją na półce w przedziale kolejowym. Wracalem do Szczecina pociągiem z Przemyśla. Przed miastem zacząłem szykować się do wyjścia i wtedy powstał problem torby. Była to plastikowa reklamówka, dość zniszczona, z urwanym jednym uchem. Początkowo wprowadziła mnie w zakłopotanie: za chwilę pociąg stanie, trzeba wychodzić a tu torba, cudza torba, z którą nie wiadomo, co zrobić. Byłem sam w przedziale. O znalezieniu właściciela mowy nie było. Mogłem oddać torbę konduktorowi, ale kiedy, przełamując początkowe opory, ściągnąłem cudzą reklamówkę z półki, spostrzegłem, że nie ma w niej nic poza pospolitą, papierową teczką, jakich używa się w biurach do przechowywania rozmaitych pism i akt. Otworzyłem teczkę, ale ku swemu rozczarowaniu nie znalazłem w niej żadnych formularzy, faktur czy innych pism, które pozwoliłyby zidentyfikować właściciela teczki. W teczce znajdował się jedynie dość gruby plik kartek zapisany gęsto na maszynie. Przejrzałem je pośpiesznie, ale nigdzie na kartkach, ani na teczce, nie dostrzegłem nazwiska osoby, która była ich właścicielem. Zorientowałem się, że jest to list, list do kogoś, do jakiegoś przyjaciela. Ale i jego nazwiska, ani adresu, nigdzie nie udało mi się odnaleźć. Przyznaję – nie zgłosiłem konduktorowi o znalezisku, co powinienem był zrobić, lecz zabrałem teczkę do domu. Pociąg był już spóźniony a ja miałem umówione spotkanie. Bałem się, że nie zdążę. Konduktora nigdzie nie było widać w pobliżu. Ich zawsze nie ma, gdy są potrzebni. Poza tym miałem nadzieję, że w domu przejrzę dokładnie maszynopis i uda mi się odnaleźć nazwisko oraz imię autora i jego adres. Wtedy bym mu odesłał teczkę pocztą. Niestety, niczego takiego nie znalazłem.

Kim jest autor tego maszynopisu? Ponieważ maszynopis ten ma formę listu, będę go nazywał listem, aby uniknąć nieporozumień. Musiał jechać przez jakiś czas w tym samym przedziale. Kłopot polega na tym, że począwszy od Tarnowa pociąg jechał zatłoczony. Wszystkie miejsca w przedziale były zajęte, aż do samego Poznania. Jedni wysiadali, drudzy wsiadali. Przez dwanaście godzin bezustanny kołowrót. Żaden z pasażerów nie utkwiał mi w pamięci, żadnego nie podejrzewałbym o autorstwo tego listu. Później starałem się sporządzić przypuszczalny rysopis jego autora na podstawie wzmianek znajdujących się w tekście. Skąpych, lecz pozwalających na wysunięcie pewnych wniosków. Autor zadbał o to, aby nie było to łatwe. Nie podał nawet swojego imienia. W jednym miejscu przez zapomnienie napisał swoje imię, ale później zamazał je tuszem. Nie dość dokładnie. Wydaje mi się, że pierwsza litera jego imienia to M lub... W. Marcin? Michał? Marek? Wojciech? Wiesław? Nie mam pojęcia. Jak można wnioskować z tekstu, autor jest mężczyzną w wieku około trzydziestu kilku lat. Wiadomo, że urodził się w Szczecinie. W Krakowie studiował. Pracuje jako nauczyciel, gdzieś na wschodzie kraju, jak sam napisał – w odległości pięćdziesięciu kilometrów od Bełżca. To wszystko, co można o nim powiedzieć; to jest to, co sam o sobie napisał. Można przypuszczać, że jechał do Szczecina w sprawach rodzinnych. Ale i to nie jest pewne. Mógł przecież jechać i do innej stacji, np. Poznania. Nic pewnego o nim powiedzieć nie sposób. W każdym razie był w tym pociągu. Jednak ja nie przypominam sobie mężczyzny w tym wieku, w pociągu relacji Przemyśl – Szczecin. Jednego zapamiętałem, ale było to małżeństwo. Jechał z żoną i kilkuletnią córeczką. Nie mógł to być autor, który bez wątplenia jest osobą samotną. Jest jeszcze inna możliwość. Część drogi przespałem. Snem niespokojnym, z częstymi przebudzeniami, lecz jednakże spałem. W tym czasie nieznany autor listu mógł znaleźć się w przedziale. Jeśli tak właśnie było, to nic dziwnego, że nie kojarzę z nim żadnej osoby. Spałem, a w przedziale było ciemno. Jest jeszcze dodatkowy powód. List ten przeczytałem dopiero w kilka miesięcy później. Nie miałem czasu, poza tym, przy pierwszej próbie, zraziłem się do tego listu, o co bardzo łatwo. Zaraz wieczorem tego samego dnia zacząłem czytać i... odłożyłem go na półkę. Każdy, kto zada sobie trud przeczytania tej książki, zrozumie moje uczucia. Gdy po kilku miesiącach zacząłem przypominać sobie, kto jechał ze mną w przedziale, wyniki nie mogły być re-

welacyjne. Autor tego listu pozostanie na zawsze nieznany. Ale też on tego właśnie chciał. Jest jeszcze inna możliwość, której rozpatrzenia nie można uniknąć. Mianowicie, że autorem tego listu może być ktoś inny: kobieta, młody chłopak, czy starszy mężczyzna. Ktokolwiek. Zgodnie z tym tokiem rozumowania ten list to jedynie literacka fikcja, wytwór czyjejs, chorej wyobraźni. Przyznaję: nie da się wykluczyć, że ktoś zgubił w pociągu maszynopis powieści. Ja tak nie uważam. Jest to moje osobiste przekonanie, na potwierdzenie którego nie mam żadnych dowodów. Ten list wydaje mi się za bardzo prawdziwy, aby mógł być czystą, literacką fikcją.

Kto by nie był autorem, czy są to autentyczne wspomnienia kogoś, kto zapisał je pod wpływem napływu fali wspomnień, czy też jest to fikcja literacka, powstaje inny problem. Czy książka ta nadaje się do publikacji? Osobiście miałem co do tego bardzo poważne wątpliwości. A to ze względu na pewne drastyczne epizody, które mogą przecież ranić czyjaś moralność, czy uczucia religijne. Autor jest niezwykle szczery; niektóre przeżycia, jakie opisane są na tych stronach, jak się wydaje, wykraczają daleko poza zwyczajne granice normalności. Od razu należy zastrzec, że nie są to opisy natury seksualnej, czy perwersyjno – seksualnej. Ta książka nie ma charakteru pornograficznego, i daleko jej do tego. Mimo tego wyczuwa się, że niektóre fragmenty zostały napisane celowo po to, aby rozjątrzyć czytelnika, dotknąć go, nawet obrazić. Czego autor specjalnie nie kryje. Zapewne miał na myśli adresata listu, ale mogą one urazić i postronnego czytelnika. Pewnych jego uwag trudno nie uznać za świadomie bluźniercze. Co więcej, czasami trudno jest nie wątpić w zdrowe zmysły autora tego listu. Wspominałem już, że po pierwszej próbie porzuciłem go na kilka miesięcy. W końcu przeczytałem i uznałem, że list ten wart jest, ażeby zaprezentować go szerszemu ogółowi czytelników. Od razu trzeba uprzedzić, że nie jest to lektura dla wszystkich. Nie jest to książka łatwa czy przyjemna. Uważam jednak, że ważne jest, aby każdy miał możliwość oceny tej książki i jej autora. Tu bowiem te dwie sprawy: autor listu i sam list splatają się w trudną do rozdzielenia całość. Długo się wahałem, ale podjąłem decyzję o publikacji. Pomimo licznych zastrzeżeń, moim zdaniem, nieznany autor zdobył sobie prawo do tego niezwykłą szczerością i cierpieniem, jakie przebija przez karty jego listu. Z tego samego powodu nie uznałem za celowe cenzurowanie

listu przez skreślanie zdań czy akapitów, które wydawały mi się trudne do przyjęcia. Zostawiam to do decyzji czytelników.

Tytuł pochodzi ode mnie. W maszynopisie brak jest strony tytułowej. Zastanawiałem się dość długo nad tym, jaki tytuł nadać i nic sensownego nie przychodziło mi do głowy. Wypróbowałem różne warianty jak: „List do przyjaciela”, „Zagubiony list”, „Pamiętnik znaleziony w pociągu”, czy „Z zimną krwią”. Żaden mi nie pasował. Być może ktoś inny wymyśliłby coś lepszego, lecz ja nie byłem w stanie. W końcu postanowiłem za tytuł wziąć pierwsze słowo tego listu. To wyjście wydało mi się najprostsze i najlepsze.

Jeszcze słowo o moim udziale, skromnym, acz nie bez znaczenia. Zaczął się on od przypadku, jakim było prawdopodobnie znalezienie maszynopisu, zakończył się ciężką pracą nad przygotowaniem tekstu gotowego do druku. Był to maszynopis, ale maszynopis z gęsto naniesionymi poprawkami, napisanymi trudno czytelnym pismem. Kilkakrotnie musiałem skapitulować, wobec niemożności odczytania tekstu. W tych miejscach wstawiłem słowa, które wydawały mi się najbardziej pasujące do kontekstu. Maszynopis z licznymi skreśleniami i uzupełnieniami z całkiem innych stron, których numeracja, na domiar złego, często była mylna. Kosztowało mnie to dużo czasu, wysiłku i cierpliwości, ale uporałem się z tym zadaniem, według mojej oceny, zadowolająco.

T. B.

Szczecin, 1996

Nic mi nie mogli zrobić. Bałem się jednego, że Dorota wróci do szkoły. Tylko tego się bałem. Że ją zobaczę!

Tamtego ranka, gdy znalezioną ją ciężko ranną na drodze w parku (tym samym, który wcześniej przemierzyłem idąc do domu; bandziory przeniosły ją tam, czy też przeprowadziły, gdyż park, w którym ją zostawiłem, otoczony domami i ulicą był zbyt mały, by mogli robić w nim spokojnie to, co zamierzali; w tym sąsiednim, dużym parku nie było ryzyka, że ktoś usłyszy krzyki Doroty) odwieziono ją nieprzytomną do szpitala, do którego kilka godzin później przywieziono i mnie. Ironią losu oboje znaleźliśmy się w tym samym szpitalu, dobrze że przynajmniej na innych oddziałach. Stan Doroty był bardzo ciężki. Dorota została nie tylko wielokrotnie zgwałcona ale i bestialsko pobita: miała połamane żebra, złamana rękę, nos, żuchwę, otrzymała także kilka ciosów nożem. Straciła masę krwi. Tamci używszy sobie na niej do woli najwyraźniej chcieli ją zabić. Byli zbyt pijani na to, żeby im się udało ale próbowali. Pomimo wszystko dziwne jest, że Dorota przeżyła. Miała wtedy siedemnaście lat, młody, zdrowy, silny organizm i sporo szczęścia. Właśnie ów wyczekiwany powrót Doroty przejmował mnie strachem. Myśl, że stanie przede mną. Uśmiechnie się. Powie: „widzisz, a jednak żyje” Nie wiem, co wtedy bym zrobił. Mijał czas, Dorota się nie pojawiała. Również wtedy, gdy wyszła ze szpitala. Rozeszła się wieść, że przeniosła się do innej szkoły. Że przeprowadziła się do innego miasta, że mieszka u swojej ciotki, gdzieś na Śląsku. Poczulem się pewniej. Nic mi już nie zagrażało. Byłem bezpieczny. Chronił mnie mur, którego reszta nie była w stanie przekroczyć. Znow grzeszyłem, tym razem pychą. Wystarczyło jedno popołudnie, jedno spotkanie, a ów wyimaginowany świat, w którym żyłem, który stworzyłem sobie z takim trudem i takim kosztem pękł niczym bańka mydlana. Wydarzyło się to w dzień procesu.

Jakkolwiek byłem pewien, że nic nie mogą mi zrobić, w głębi duszy obawiałem się tego dnia. Nie proces napawał mnie lękiem, wiedziałem, że nic na mnie nie mają. Był to ten sam lęk trapiący mnie od dawna, lęk przed spotkaniem z Dorotą. Wmówiłem sobie, że Dorota musi stawić się w sądzie, na „swoim” procesie. Było to poważne ryzyko, z którym należało się liczyć. O swoje zachowanie byłem spokojny. Wcześniej kilkakrotnie wzywano mnie do składania zeznań na milicję i do

prokuratury. Po raz pierwszy milicjanci zjawili się u mnie, kiedy jeszcze leżałem w szpitalu. Poznałem ich metody i sztuczki. Wszedłszy na salę sądową błyskawicznym rzutem oka zorientowałem się, że nie ma w niej Doroty Z. Wiedziałem, że nie powinienem jej spotkać, że składała już zeznania, ale... Kto wie? Idąc, nogi się pode mną uginały ze strachu. A jak przemykałem korytarzami! Bojąc się, że za każdym rogiem ujrzę ją nagle. Jak cień. Cicho i skrycie. Ale nie było jej!!! Ani na korytarzach, ani na sali sądowej. Nigdzie jej nie wypatrzyłem. Zrozumiałem, tam na sali. Nie zobaczę Doroty! Jej tu nie ma!! I nie będzie. Już nigdy jej nie zobaczę! Od tego momentu składanie zeznań stało się nudną, uciążliwą procedurą. Zadawano mi takie same pytania jak podczas śledztwa. Czy nikt nie zadał sobie trudu przeczytania tomów akt? Toteż dawałem takie same odpowiedzi. Sędzina była mądrą kobietą. Miała siwiejące, zaczesane do góry włosy, szczupłą twarz pokrytą siecią zmarszczek, głębokie, poważne spojrzenie szarych oczu ukrytych za dużymi szklami okularów w rogowej oprawie. Spojrzenie człowieka, który wiele przeżył, który więcej jeszcze widział, i który dobrze wie, że najbardziej nawet oczywiste fakty, najbardziej przekonujące zeznania i dowody niekiedy służą nie tyle do ujawniania prawdy, ile do jej skutecznego zacierania. Nie dała się oszukać. Czuję, że mi nie wierzy, że... wie. Raz spojrzała na mnie tak przenikliwym i silnym spojrzeniem, że zmieszałem się w duchu. Zawstydzony naraz i złękniiony. I co z tego? Zeznania świadków, zeznania samych oskarżonych, którzy nie kryjąc pogardy opisali mnie jako ostatniego tchórze, wreszcie przebyta choroba podważająca moją poczytalność tamtego wieczoru, zapewniały mi całkowitą bezkarność. Jedynym niebezpieczeństwem było to, że na rozprawie popłacę się w zeznaniach ale na to byłem zbyt uważny. Nie próbowałem się usprawiedliwiać, tłumaczyć ani przez moment nie usiłowałem poprawić swego wizerunku. Mówicie, że jestem tchórzem, proszę bardzo. Zgadzam się – jestem tchórzem. Mówicie, że jestem bez charakteru, że jestem drań, łobuz, ostatnia kanalia? Nie przeczę, broń Boże! Ale przepraszam, czy to jest aby karalne.? Do więzienia nie trafia się za charakter, czy takowego brak ale za czyny. Jednakże wpierw należałoby je udowodnić, przynajmniej ich zamiar. Próbuje, jeśli potraficie. Ja chętnie popatrzę i pośmieję się zdrowo. Taka była moja linia obrony. Niezmienna odtąd przez wszystkie te lata.

Moi beznadziejni współnicy, którzy w zeznaniach wystawili mi tak nędzną opinię, dostali surowe wyroki: od dwudziestu pięciu lat dla degenerata – prowodyra, przez piętnaście do ośmiu lat dla pijaczka i tego najmłodszego. Ja wyszedłem z sali rozpraw wolny, szczęśliwy, tryumfujący, powstrzymując śmiech łechcący mnie w gardle. Musiałem użyć całej swej siły woli, by nie wybuchnąć śmiechem na korytarzu wobec przechodzących ludzi. W głowie krążył mi wierszyk, głupi, brzydki wierszyk, który mimo woli ułożyłem, gdy zostawiwszy Dorotę szedłem przez park, i tenże wierszyk przypominał mi się na korytarzu sądów i powracał raz po raz.

Nie chciała dać chłopakowi,

Dawać musi zwierzakowi.

Wtedy także powtarzałem ten wierszyk bez przerwy a wkrótce potem po raz pierwszy, jak teraz, usłyszałem trzepot i poczułem na twarzy miękkie, delikatne muśnięcie skrzydeł (jeszcze zanim wpadłem na milicyjny radiowóz). Dobrze, że tego – z tymi milicjantami – się nie dogrzebali. Paskudny, wstrętny wierszyk. Nuczę do siebie cichutko, żeby nikt nie słyszał:

Nie chciała dać chłopakowi,

Dawać musi zwierzakowi.

I znów.

Nie chciała dać chłopakowi,

Dawać musi zwierzakowi.

Idę i tak sobie nuczę. Może to ten... śmieszek ułożył i podsunął mi ten wierszyk. Byłoby to do niego podobne. Jestem na korytarzu. Po prawej ręce mijam szereg drewnianych, staroświeckich, opatrzonych numerami drzwi pomalowanych szarą, olejną farbą. Farba jest powycierana przy okuciach zamka. Po lewej okna wychodzące na dziedziniec. Gmach sądów to obszerne, poniemieckie gmaszysko zbudowane w kształcie litery U. Za zakrętem korytarza wymijam barykadę z biu-

rek ustawionych piętrowo, jedno na drugim. Na pierwszy rzut oka widać, że to zniszczeni, doszczętnie zużyci, urzędniczy weterani zaprawieni w latach bojów ze szklanką gorącej herbaty i maszyną do pisania, zmordowani przez urzędniczą codzienność. Przetarte blaty, oblaźły lakier, poobijane rogi, odparzone kółka od szklanek. Biurko na górze ma otwartą szeroko klapę, która opadłszy w dół ze wstydem odsłania swą, dotąd pilnie strzeżoną, tajemnicę: cztery szuflady wypełniające przestrzeń lewej komory. Jedna szuflada jest wysunięta. Nie sposób oprzeć się ciekawości. Przechodząc zerkam, jakbym spodziewał się ujrzeć ślady tych niezliczonych spraw, jakie przewinęły się przez tę szufladę. Jest tam jedynie śrubka, kilka gwoździków i trochę trocin pod ścianką. Żalodne. Wysoka sprawiedliwość: wyroki, sądy, procesy, kary, uniewinnienia, decyzje o ludzkim losie. A tu rzeczywistość: gnijące biurka poplamione tuszem, spróchniałe wraki nadające się tylko na śmietnik i kupka śmieci pośrodku. Głupio i wstyd. Nucę ciągle, samą melodię bez słów. Słowa gdzieś mi się zapodziały. Zostaje sama melodia, potem dźwięki bez związku.

Wchodzę do holu sądów połączonego z klatką schodową. Przystaję. Są! Widzę ich: grupka osób ze szkoły. Co oni tu robią? Rozprawa jest niejawną, bez udziału publiczności. Nie wpuszczą ich, po co więc tu przyszli? Składać zeznania? Ale o czym? Co oni wiedzą? Poznają dwie dziewczyny z mojej klasy – przyjaciółki Doroty. Właśnie dziewczyny są najmocniej na mnie zażarte. Żadna dziewczyna czegoś takiego nie zrozumie i nie wybaczy. Jest nauczycielka polskiego. Jest Janusz: wysoki, przystojny, czarnowłosy chłopak z klasy maturalnej łypiący na mnie ponuro (to z nim, podobno, chodziła Dorota). Jeszcze kilkoro innych uczniów znanych mi z widzenia, których jednak dokładniej nie potrafię zidentyfikować. Po co oni tu przyszli? Nie rozumiem. Ale nie mam czasu się nad tym zastanawiać. Co innego przyciąga mój wzrok. W głębi holu, za kolumnami, stoją. Tak. Nie myślę się! Teraz widzę dokładnie, gdy tych dwoje odeszło. Stoją ojciec i mama Doroty! Oni także mnie dostrzegli. Patrzą na mnie. Nasze spojrzenia się spotykają. Kilkakrotnie byłem w ich domu. „Przepraszam, czy zastałem Dorotę” – pytałem zmieszany mamę Doroty. Nieodmiennie otwierała mi mama Doroty. „Tak, proszę wejść. Dorota jest w swoim pokoju” – odpowiadała z uśmiechem, który miał dodać mi otuchy. Zawsze wtedy byłem okropnie zmieszany. Mama Doroty miała okrągłą, wesołą twarz,

skore do śmiechu oczy patrzące pogodnie i życzliwie. Cała była okrągłutka; niska, korpulentna pani, mimo tuszy energiczna i żwawa jak nastolatka. Chociaż okropnie się bałem, lubiłem mamę Doroty i sposób, w jaki mnie witała. Miałem ich teraz przed sobą – jego i ją. Od tamtego czasu nie widziałem ich. Zmienili się bardzo: postarziali, posiwiali, przygarbili, jak gdyby upłynęły lata. Z twarzy matki Doroty zniknęła dawna pogoda i życzliwość. Jej oczy przygasły, wydawały się być mniejsze, zapadnięte w głąb. Nawet z tej odległości, widać było, że powieki ma zaczerwienione od płaczu. Patrzyliśmy sobie w oczy: ja i matka Doroty. W żyłach miałem lód, w piersiach jakby ktoś nalał mi ołowiu, jedynie serce biło ostro, szybko, nerwowo. Wpatrzona we mnie jak w transie matka Doroty zrobiła kilka kroków w moją stronę. Zatrzymała się. Po czym podeszła jeszcze bliżej. Uciec! Uciec. Uciec, jak najdalej. Rozejrzałem się wokół. Hol sądu było to obszerne, wysokie pomieszczenie, które zachowało resztki dawnej elegancji: ozdobne kraty pod poręczami schodów, lśniące posadzki, marmurowe, podwójne kolumny. Zamknięcie holu stanowiła stylowa klatka schodowa z zachowanymi elementami secesyjnych ozdób, z dużymi, łukowymi oknami. Hol pełen był ludzi, którzy już zaczęli zwracać na nas uwagę. Ci ze szkoły wprost nie spuszczały z nas chciwych sensacji oczu.

Wtedy coś we mnie przeskoczyło. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Powrócił wierszyk. Zanuciłem pod nosem, cichutko, żeby nikt. Tylko ja, słyszałem. Boże, nie! Ja.

Nie chciała dać chłopakowi,

Dawać musi zwierzakowi.

I uśmiechnąłem się. Nie chciałem tego. Wewnątrz kurczyłem się ze strachu, ale... musiałem. To ktoś inny, za mnie, uśmiechał się moją twarzą. Mój uśmiech skierowany był do matki Doroty. Rzecz nie w tym, że się uśmiechałem w takiej chwili. Chodzi o to, jaki to był uśmiech. Uśmiechałem się, sam to czułem, tryumfująco, zjadliwie, szyderczo. Był to uśmiech okropny, podły, ohydnie wręcz nieprzyzwoity, szczególnie w tym miejscu i czasie i u mnie po tym, co zrobiłem, po tym, co się stało. W trakcie procesu. Uśmiechem tym naigrywałem się z jej bólu, z

jej rozpaczy, cierpienia. Mówiłem z kpiną prosto w oczy: zrobiłem, co zrobiłem i odchodzę wolny! Ani wy, ani sąd, ani wasza córka – nic nie możecie zrobić! Im dłużej to trwało, tym mój uśmiech stawał się radośniejszy, bezczelniejszy i bardziej wyuzdany. Jakbym się sam prosił.

Matka Doroty podeszła wolno. Ruchy miała dziwnie niepewnie, rozbiegane, ślepe z bólu. Ręce się jej trzęsły. Cała dygotała, jak w gorączce. Nie spuszczała ze mnie oczu płonących pomiędzy zapuchłymi od płaczu, czerwonymi powiekami. Zatrzymała się na wyciągnięcie ręki. Przez moment popatrzyła na mnie spojrzeniem, które pamiętam do dziś i splunęła mi prosto w twarz obfita, gęsta ślina.

Wiedziałem. Rozmowy umilkły. Oczy wszystkich utkwione były we mnie. Było tak cicho, że słychać było, jak kartka papieru, wysunawszy się z czyjejs dłoni, szeleszcząc upada na podłogę. Ja zaś stałem z twarzą stężałą w uśmiechu, który zamienił się w paskudny grymas. Wyprostowany. Nieruchomy. Zastygły w bezruchu. Wobec matki Doroty. Wobec ich wszystkich. Wobec całego świata. A po twarzy ściekała mi ślina, zostawiając po sobie długi, wilgotny, palący ślad.

**O autorze**

Tomasz Bodziony, urodzony w 1963 roku, pracownik naukowy, specjalność nauki ścisłe: fizyka i matematyka.